

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

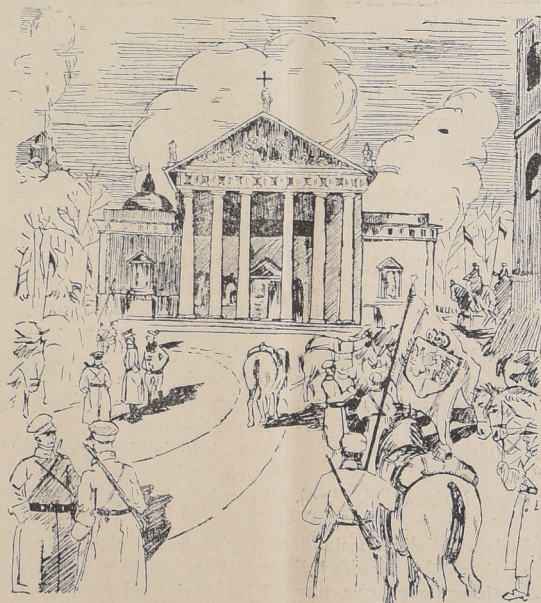
Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

Zajęcie Wilna w 1919 r.

Przed dziesięć laty, w dniu 19 kwietnia 1919 r. wojsko polskie zdobyło Wilno. Po długich latach jarzma niewoli nad murami prastarego, a złączonego z Polską, Macierzą nierozwalnemi łańcuchami krwawego męczeństwa, grodu Gedyminowego załopotały polskie sztandary, niosąc umęczonej ziemi wileńskiej wolność, wywalczoną bagne-

tem żołnierza i genjuszem Naczelnego Wodza i twórcy armji, Marsz. Józefa Piłsudskiego.

W Wielką Sobotę na pełnych rozgwargu bitwy ulicach Wilna rozległ się tentent zwycięsko wdzierających się oddziałów Beliny a za nimi wkroczyła nasza piechota i zadudniły ciężkie koła artylerji.



Pierwszy do Wilna wkroczył szwadron szwoleżerów pod dowództwem majora Maryusza Zaruskiego. Witany był przez tłumy uradowanej publiczności: okrzykom na cześć Polski, wojska i Wodza Naczelnego nie było końca.

W ręce wojska polskiego w samym mieście dostało się wielu jeńców, oraz bogaty zapas materiałów wojennych. Przyjazd Wodza Naczelnego i Naczelnika Państwa Polskiego wywołał entuzjazm niesłychany. Nie tylko Polacy, których radość

przekraczała wszelkie granice, lecz także ludność litewska i białoruska odnosiła się do Niego z zafaniem i gorącą wdzięcznością za uwolnienie miasta i Litwy od najazdu.

Wieczorem dnia 21 kwietnia 1919 pociąg specjalny przywiózł Komendanta Józefa Piłsudskiego. Przyjmowała go delegacja oficerska oddziałów zajmujących Wilno z Rydzem-Śmigłym na czele. Po odebraniu raportu od gen. Rydza-Śmigłego i odbyciu przeglądu kompanji honorowej, Komendant wysłuchał powitania przedstawiciela miasta Wilna, poczem dopiero przywitał się z rodziną pp. Janostwem Piłsudskimi i kilku innymi osobami. Nastąpiło odwiedzenie rannych w pociągu sanitarnym, poczem Komendant dosiadł konia i pojechał ku miastu. Tłumy obsypały kwiatami Wodza, okrzykom zapału nie było końca. Manifestacje dosięgły szczytu na placu kolejowym i przy przejeździe Bramy Ostrobramskiej. Przed Komendantem jechał szwadron ułański z lancami i chorągwiami. W otoczeniu Komendanta jechali oprócz Rydza-Śmigłego i Beliny, szereg oficerów, poczem szły automobile, w tyle postępowała piechota. Miasto było udekorowane chorągwiami o barwach polskich z herbami Orła i Pogoni.

Komendant rozpoczął natychmiast konferencje z czynnikami wojskowymi i cywilnymi, oraz z komisarzem generalnym do spraw cywilnych przy głównej kwaterze, p. Jerzym Osmołowskim.

Na rogach ulic naklejono zaraz w Niedzielę Wielkanocną odezwę Beliny, a w poniedziałek odezwę Rydza-Śmigłego, obie w językach polskim, litewskim, białoruskim i żydowskim.

Odezwa Beliny podnosiła:

„Po 125 latach przemocy, prześladowań i niewoli, po długiej, przeszło wiekowej nocy, podczas której zawsze ktoś obcy krwawo gospodarzył na tej męczeńskiej ziemi, przychodzą Wojska Polskie, jako zwiastuny i poręczycieli swobody.

Sami o losie swoim rozstrzygać będącicie. Chcemy, by piersi Wasze odetchnęły wielkim tchnieniem Wolności.

My, żołnierze młodej, odrodzonej Rzeczypospolitej Polski Ludowej, przychodzimy do Was ze starem w sercach naszych, żywym i nieskażonym hasłem: „Wolni — z Wolnymi, Równi — z Równymi“. „Za Waszą i naszą Wolność“.

Mjr. dr. W. Lipiński tak opisuje w Pol. Zbroj. walkę i zajęcie Wilna:

„W nocy z 18 na 19 kwietnia Belina postanowiła uderzyć na miasto, choć ryzyko tej decyzji było ogromne. Piechota znajdowała się za nim o dwa dni marszu w tyle, w razie więc zajęcia Wilna, musiałby dwa dni miasto trzymać, mając dro-

bnie zaledwie siły. Mimo tych trudności, nie cofnęli się ułani przed ryzykiem. Liczyli, że niespodziewanym atakiem, zajmą dworzec wileński, będą mogli złożyć tam pociąg i natychmiast wysłać go w stronę Lidy po piechotę...

O świcie w Wielką Sobotę, ujrzeni ułani leżące w dołnie Wilno, oblane promieniami wschodzącego słońca. Natychmiast rozpoczęto akcję. Major Zaruski uderzył na dworzec, zajął go wspaniałym uderzeniem, bez własnych strat, przegnałszy bolszewików, kilkuset biorąc do niewoli. Tam też złożony został natychmiast pociąg, który ruszył w stronę Lidy, a tymczasem od strony Ostrej Bramy uderzył z drugiego punktu na miasto mjr. Orlicz-Dreszer.

Przez cały dzień Wielkiej Soboty 19 kwietnia wzięła zaciętą walka na ulicach Wilna. Początkowo przerażeni nagłym napadem, rychło się bolszewicy zorientowali, że mają do czynienia z niewielką siłą polską. Mimo straty 1500 żołn. w jeńcach, których ułani w triumfie za miasto wyprowadzili — z ponad 3000 załogi bolszewickiej dostateczne zostały jeszcze inne siły, by podjąć z nimi walkę o miasto. Ułani bronili się wspaniale. Oszałała z radości ludność miasta, jaką mogła pomagała żołnierzom naszym — lecz pod koniec dnia brakować im zaczęło sił. Trzydniowy gwałtowny marsz, ostatnia bezsenność i cały dzień walki na ulicach nieznanego sobie miasta — wyczerpywały ułanów — lecz ich nie złamały. Wszystkie szwadrony zostały rzucone do walki. przy ppłk. Belinie i sztabie grupy szło kilkunastu zaledwie ułanów — reszta zaś z półbaterją dział trwała w ogniu. Mimo krwawych strat i ciężkich warunków — ułani trzymali większą część miasta przez cały dzień, a o 8-mej wieczór przeraźliwe gwizdki i sygnały pociągu zwiastowały im radosną nowinę. Przyjechała piechota!...

Był to III bataljon 1 p. piechoty legionowej. Natychmiast rzucone w bój kompanje piechoty, wsparły znakomicie wyczerpanych ułanów, walka rozgorzała na nowo — lecz duch w bolszewikach już upadł. Bronili się przez noc, lecz następnego dnia, gdy nowe bataljony piechoty gen. Rydza-Śmigłego zajęły do miasta — walka była przesądzona.

21 kwietnia, drugiego dnia Świąt Wielkanocnych, miasto było wolne, po stu przeszło latach krzepko je w rękę dźwierzyl żołnierz polski“.

Żołnierz polski dumny jest, że mógł brać udział w walce o umiłowane sercu Wodza miasto i że bił się pod tym Wodzem Naczelnym, którego hasłem jest:

„Zwyciężyć i tylko zwyciężyć“.



Legjoniści — ministrami



Min. Spr. Wojsk.: Marszałek Józef Piłsudski.



Szef Rządu: dr. Kazimierz Świątowski.



Min. S. W.: dr. Sławoj-Składkowski.

Min. Robót Publ.: inż. Jędrzej Moraczewski.



Min. Opieki Społ.: plk. Aleks. Prystor.

Min. Poczty i Teleg.: plk. inż. Ignacy Boerner.



Z. ZYGMUNTOWICZ.

Wojsko austriackie w walce z P. O. W. we Lwowie 1918 r.

II.

W zeszycie 55-cim opisałiśmy przejścia członków wojsk. organizacji „Wolność” w październiku 1918 r., zapowiadając dalsze rewelacje w nast. zeszytach „Panteonu”.

Przystępując do tego, zwrócić musimy uwagę, że mimo wyteżonych usiłowań i starań, nie mogły władze wojsk. austr. dociec tego, kto tu prowadzi robotę P. O. W. i jakie rozmiary przybiera ta akcja. Bezsprzecznie cywilne władze lepiej były poinformowane o tej robotce — jednak nie zawiadamiały o tem władz wojsk., bowiem władzę cywilną dzierżyli Polacy, którzy wraz z całym społeczeństwem oczekiwali końca monarchji.

Austr. komenda wojsk. we Lwowie poleciła

prokuraturze wojsk. przy sędzię dyw. obrony krajowej dnia 8 października 1918 r. (do l. 1056S/I) przeprowadzić rewizję i aresztować wielu działaczy polskich we Lwowie, których należenie do P. O. W. i robotę „rewolucyjną” stwierdził jakiś rzekomo h. legionista Tadeusz Statkiewicz.

Pismem tem nakazano aresztować inż. Zdzisława Warchalowskiego, dr. K. Hartleba, leg. kpt. J. Zulaufa, leg. kpt. Fr. Sikorskiego, ordynansa ich St. Kolińskiego (Rutkowskiego), b. legj. podof. L. Nowiego, Z. Hofbauera i innych.

Późtem inwigilowano i przeprowadzono dochodzenia odnośnie do osób: J. Litwinowicza, redaktora, Wróblewskiego, funke. Gaz. miejskiej,

W. Laskowskiego, funkce. elektrowni, Warchelego, urzęd. kolejowego Wł. Konotackiego, wermistrza kolej., W. Kapki, nadkond. kolej., a także inż. A. Hausera, posła, Borelowskiego, koncyp. adwok. i wielu kolejarzy.

Rozpoczęły się rewizje, przesłuchiwanie i śledztwa przeciw podejrzanym o przynależność do P. O. W., która prowadziła werbunek dla stworzenia siły zbrojnej, więc zastosowano wojsk. kodeks karny i § 506 (werbunek niedozwolony) i 527 (działanie przeciw wojsk. sile państwa) — a także podciągnięto przestępstwa te pod inne paragrafy, odnośnie do niedozwolonego zbierania się, przechowywania broni, wystawiania fałszywych legitymacyj i t. d.

Dnia 9 października 1918 r. przeprowadzono ścisłą rewizję u wymienionych, tak w prywatnych mieszkaniach, jak i w biurach, opiekowano biurka i szafki z aktami w delegacji N. K. N. przy Akademickiej 5, w domu Opieki nad Żołn. Polsk. przy Kilińskiego 1, również w Domu Leg. przy Jabłonowskiej 11 i na Stacji Zbornej Legij. przy Kurkowej.

Rewizja odbyła się u inż. Warchałowskiego, dr. Hartleba, w domu matki kpt. legij. J. Zulaufa, gdzie zabrano fotografię kpt. z Legionów, pismo Czerwonego Krzyża i szperano w rzeczach i papierach pozostałych po śp. legij. kpt. T. Terleckim, którego żona była siostrą kpt. Sikorskiego i w półmieszkała w domu rodzinnym.

Aresztowano tylko Kaz. Kościukiewicza, śl. polit., b. oficera rosyjsk. i Kolińskiego, b. legij. 2 i 4 p. p. legij., służącego Zulaufów i Terleckiej. Tego ostatniego aresztowano za to, że nie mógł się wykazać poco jeździł do Wiednia.

Inni odpowiadać mieli z wolnej stopy, kilku podejrzanym odstąpiono sądowi wojsk. w Prze-

mysłu, gdyż należeli oni do c. i k. armji, a nie do obrony krajowej.

Oskarżonym przedstawiono rozmaite dowody ich działalności, więc listy, mapy, wyjazdy na Węgry lub Ukrainę, schadzki i t. p. Każdy bronił się jak tylko mógł. Kościukiewicz, pochodził z Lubelskiego, nie poczuwał się do żadnej winy, po opuszczeniu wojska ros. przybył do Lwowa, gdzie uczył się na Technice, wyjeżdżał na Ukrainę po żywność, do P. O. W. nie przyznaje się.

Bronił się też i Koliński; jeździł po „leguńsku“ do Łodzi, Lublina i Wiednia, starał się o papiery, wreszcie we Lwowie znalazł posadę u dawnego swego oficera w domu Sikorskiego i Zulaufa. Dnia 12 października 1918 wypuszczono go z więzienia. Odpowiadał z wolnej stopy.

Podobnie bronił się Lesław Nowi, który do P. O. W. nie należał, ale uznaje tę organizację za potrzebną dla przyszłości Polski. Inż. Warchałowski i dr. Hartleb twierdzili, że nie należeli do P. O. W., nie werbowali ani nie wysyłali legionistów do Wehrmachtu; działali tylko w instytucjach filantropijnych i opiekujących się polskim żołnierzem.

Śledztwo trwało dalej. Przesłuchiwano b. legij. H. Bezego, technika, i innych we Lwowie, a także wiele osób na prowincji, jak p. Świderska, wdowę po lekarzu w Podwoleczyskach i innych. Zbierano dowody i rozciągnięto inwigilację na wszystkich, których tylko wywiadowcy i przeróżne kreatury podawali jako należących do P. O. W.

Listopad przerwał śledztwo i rozprawy nie było.

O zeznaniach rzekomego legionisty Statkiewicza (nazwisko zmyślone) i jego doniesieniach o P. O. W. w Galicji i na Ukrainie, napiszemy w następnym zeszytcie.

STANISŁAWA SOZAŃSKA.

Z przeżyć na Pokuciu 1914 — 1919 r.

III

Przed odjazdem wprowadzili austr. żołnierze kilku Legionistów, schorowanych, prowadzonych ze szpitala w Kolomyji do pociągu, by ich odstawić do obozu. Prosiłam żołnierzy, by weszli do naszego wozu i tłumaczyłam, że tu jest piec i pali się, a jeńcy chorzy, lecz to było narazie bezskuteczne. Po kilku godzinach jazdy, za Delatynem, udało mi się jeszcze raz prosić eskortę, tym razem chętnie usłuchali, bo sami byli zziębnięci do szpiku.

Zaledwie usiedli, a już p. Ludwígowa podała gorącą herbatę, p. Germańska chleb i węgliny

z własnych prowiantów, również częstowano i eskortę, żołnierzy austriackich.

Garnek z herbatą stał ciągle na piecyku i był osiá, około którego wszyscy się krecili.

Około pierwszej w nocy otworzyliśmy skrzynię, których wieka służyły zamiast stołu i zaczęliśmy krajać chleb, bulki, ciasta, mięswo, wszystko na porcję, bo w Busty-Haza było 900 naszych. Do Husztu i do więzienia w Marmaros-Sziget wiozła prowianty delegacja ze Lwowa.

W niedzielę około 5-tej, kiedy już szarzało,

przyszedł do wozu por. legj. Chlebek. Czekaliśmy w naszym wozie, aż się zacznie jakiś ruch w obozie, który leżał opodal na równinie oddalonej o paręset kroków od nasypu kolejowego.

Około 8-mej rano zeszyliśmy z panią Germańską do komendanta obozu, oficera Węgra, z prośbą o pozwolecie rozdzielania święconego. Bardzo był grzeczny, jednakże odrzekł, że nie ma żadnych wezwoleń, więc specjalnego zezwolenia dać nie może, natomiast pozwoli dać każdemu Legionście coś ze święconego przy powrotnej drodze z kaplicy, gdzie ma być Rezurekcja.

Wkrótce poprowadzono wszystkich w czworakach do kaplicy. Podążyliśmy z naszymi, podczas mszy świętej zaintonowali „Wesoły nam dziś dzień nastał”, lecz nie wszyscy kończyli, rozległ się płacz, a kilku zemdlonych wynieśli — to było święto Wielkiej Nocy. Nie czekając końca nabożeństwa, pospieszyłam do wozu, by wynieść święcone, a kiedy wyniesiono ostatnią skrzynię, przeznaczoną dla Legionistów w Busty-Haza, spostrzegłam, że żołnierze Węgrzy wykradają nam. Chciać pospieszyć z nimi, stanęłam nieopatrznie na prymitywnym mostku, dostawionym do wozu towarowego i upadłam głową na szynę. Z pomocą przyszedł p. Haliński i p. Muszyńska, podniosły mnie i po chwili, mimo silnego bólu głowy i oka podbitego, poszłam dalej zarządzać. Kiedy chłopcy wrócili w szeregach, panie pospiesznie wręczały każdemu z osobna święcone. Radość była jak wśród najlepszych czasów, dzień był piękny i słoneczny, chłopcy wiwatowali na cześć Kołomyjan bez końca.

Po odbytem przyjęciu, jeśli je tak nazwać, dr. Bartmański, internowany w tym obozie, założył opatrunek na mej głowie.

Zaledwie skończyłyśmy, a po pożegnaniu, gdyśmy szły do wozu kolejowego, nadjechał gen. Schilling, by zakazać rozdziału święconego, aż do zarządzenia cesarza Karola, lecz było już po wszystkim.

Muszę nadmienić, że panie Germańska, Ludwigowa i Muszyńska pojechały jeszcze wózkami do pobliskich obozów jak Szeklencze, Tabarfalva i tam obdzieliły internowanych, ja zaś, chora, czekałam na najbliższy pociąg i w towarzystwie kilku pań wróciłam do domu, chorując kilkanaście dni.

Nadszedł maj, a z nim jeszcze większe zdenerwowanie; oto zbliża się dzień rozprawy sądowej, każde serce polskie drży o los internowanych. Mamy też wiadomości, że Rada Regencyjna robi starania, by Legionistów z Królestwa tam odsyłano po wylegitymowaniu się, że stamtąd pochodzą.

Trzeba było koniecznie chłopców w obozach informować, więc Komitet wybiera mnie i p. Sawkiewiczową. Jedziemy rzekomo na rozprawę, która ma się rozpocząć 8 maja 1918. Wzięłam ze sobą

1600 papierosów dla internowanych najbliższego obozu.

Wyjazd dnia 7 maja popołudniu. Uzbrojone w pozwolenie Starostwa, zajeżdżałyśmy do Körösméza. Tam do pociągu wszedł żandarm i kazał się legitymować. Pokazałam mu dokument na wyjazd do Marmaros-Sziget. Zabronił dalszej podróży i kazał nam wysiąść i wracać następnym pociągiem do Kołomyji. Stawiałam energiczny opór, a później udało mi się do innych wozów, pytając, czy nie jedzie tym pociągiem jaki poseł na dzień rozprawy. Odzywają się głosy, że są i zaraz poproszą. Wszłam napowrót do wozu a po chwili zjawiał się wzrostem słuszny pan i pyta: „A gdzie ta pani, która tak energicznie broni swych praw?” Był to poseł *Glabiński*, a za nim poseł *Lieberman*. Opowiadałam im, że jadę na dzień procesu, wydelegowana, by się przysłuchać rozprawie i złożyć sprawozdanie Komitetowi.

Przez pół godziny pociąg tam czekał, więc panowie posłowie załatwili naszą sprawę pomyślnie i pojechaliśmy dalej.

Do Marmaros-Sziget przyjechałyśmy po 10-tej w nocy, przyłączyłyśmy się do grupki Polaków i idziemy razem szukać hotelu. Niedaleko dworca jest zajazd, którego właścicielka, zapytana o pomieszczenie, odpowiada, że jest jeden pokój na piętrze a jeden w parterze. Więc dobrze; idziemy wszyscy na piętro, tj. p. Sawkiewiczowa, moja towarzyszka, panna Szwarcówna, redaktorka „Gazety Porannej”, dalej śp. Lech, redaktor „Kurjera Lwowskiego”, p. Iżykowski, redaktor z Krakowa i ja.

Zaledwie oglądnęliśmy pokój, wpada właściciel — Żyd, z krzykiem, żebyśmy natychmiast wyszli, bo jest zakaz policyjny wie przyjęcia obcych do hotelu bez poprzedniego meldowania się w policji. Pertraktacje trwały prawie pół godziny. Podszedł do p. Lecha, proponując, by panowie wyszli na korytarz, gospodarz zapewne pójdzie z nimi. Tak się też stało — ja zaś w jednej chwili zatrzasnęłam drzwi. Gospodarz krzyczał, ale ja nie otwierałam i tak ułożyłyśmy się do snu na dwóch łózkach. Ze zdenerwowania nie usnęłam aż nad ranem, a tu już ktoś puka do drzwi. To funkcjonariusz policji spisał protokół i uznał, że to była bardzo późna pora do zgłaszania się, lecz kazał nam się jawić o 8-jej godzinie w urzędzie policyjnym.

Wkrótce ktoś znów puka do drzwi: to nasi znajomi, a z nimi p. dr. Tadeusz *Dwernicki*. Gdy mnie zobaczył, zdziwił się niezmiernie i pytał: „Poco pani przyjechała? Właśnie teraz zaaresztowali p. Germanową i Kosowską”. Odpowiedziałam: „Nie boje się, a może Bóg da wybrniemy cało”.

Na policji na samym wstępie zapytał się komisarz, Węgier, w języku słabo niemieckim, poco ja przyjechała. Odważną i śmiałą była moja od-

powiedź: „Przywiozłam pieniądze na opłacenie obrońców“. „Dobrze — odpowiedział — lecz pani musi wrócić do Kołomyży najbliższym pociągiem“.

Komisarz był na tyle uprzejmy, że kazał mnie poinformować o czasie odjazdu pociągu w kierunku do Körösmezo i okazało się, że to nastąpi dopiero o 3-iej w nocy z 8 na 9 maja. Ja dobrze o tem wiedziałam i starałam się czas wykorzystywać. Najpierw poszliśmy do sądu, w korytarzu był ruch, już przygotowano się do rozprawy, znoszono stoły i ławki, wszędzie pełno ludzi. Redaktorowie radzą, bo nie dopuszczono wszystkich mimo legitymacyj. Niema nadziei, bym ja się tam dostać mogła. Zgodziłyśmy się przewieźć wiadomości podanych przez redaktorów obecnych na rozprawie.

Umówiłyśmy się z panami Lechem i dr. Dwernickim, że wrócimy z Bustyahaza za 2 i pół godz., by na nas czekali na dworcu i odjechaliśmy. Gdyśmy wsiadły do pociągu w kierunku obozu internowanych w Bustyahaza, wsiadł równocześnie jakiś pan w żółtych sztylpach z teczką pod pachą równie tego koloru. Kiedy pociąg był już w ruchu, p. Sawkiewiczowa zaczęła mówić o internowanych, sądząc, że nasz towarzysz nie rozumie, lecz ja, ostrożniejsza, trąciłam ją lekko ramieniem i skierowałam rozmowę na zupełnie obojętne sprawy osobiste i lokalne.

Wioząc owe papiery, miałam też dokumenty dla krewniaka kpt. legj. Łuczyńskiego, które mi wręczył w Marmaros-Sziget, gdy się dowiedział od p. dr. Dwernickiego i Liebermana, kim jestem i jaką mam misję w Bustyahaza.

Dwie godziny trwała jazda, a po przybyciu do obozu, pokazałam komendantowi identyczność moją, która brzmiała: „die Gattin des Leiters der Operationskassa Stanisława Sozańska“. Mąż mój był poprzednio we wojsku od r. 1914 do 1917 jako kierownik kasy operacyjnej w randze majora w II armji Böhm-Ermoliego. Węgier był zaraz niezmiernie grzeczny, kazał zawołać kilku znajomych, rzekomo moich krewniaków, i pozwolił z nimi porozmawiać, sam się oddalił, zostali tylko żołnierze podoficerowie, lecz i tych uraczyłam papierosami, każdemu całe pudełko, więc i oni nie byli natarczywi, nie bardzo podsłuchiwali, szczególnie, że p. Sawkiewiczowa, rozdzielając papierosy, głośno opowiadała o Kołomyży, a ja cichutko zakomunikowałam jednemu z nich, by informował chłopców, że są z Królestwa i podawali fikcyjnie miejscowość rodzinną. Trudniej było z owym kuzynem kpt. Łuczyńskiego. Siedział w koczku za jakiego przewinienie — jednakże na nasze prośby, jako mego krewniaka, rozkazał komendant, by go puścili na kilka chwil dla widzenia się ze mną.

Gdy wchodził do poczekalni barakowej, przywitałam go słowami: „Jak się masz kochany, Wanda posyła ci trochę papierosów“ (tam właśnie na dnie pudełka były owe dokumenta). Lecz ten nie zorientował się i o mało nas nie zasypał, bo jakiś

podoficer stał na progu, lecz ja zmarszczyłam brwi, dając mu do zrozumienia, i rzekłam: „Nie udawaj niewiniątka, to ta Wanda, którą kochasz, ona osobiście papierosy przyniosła z prośbą o wręczenie tobie, chwała Bogu, żeś zdrów i sprawy się dobrze, by cię pan komendant nie zamykał“. Jeszcze kilka chwil rozmawiałam z innymi i odeszłam do komendanta, by się pożegnać i podziękować za uprzejmość.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do Marmaros-Sziget. Znow ten sam pan wracał z nami w tym samym przedziale. Ten fakt wzbudził we mnie podejrzenie, miałam się na baczności i liczyłam się z każdym słowem. Na dworcu czekali panowie: Lech, Łuczyński w cywilnym ubraniu i Lieberman. Ci zabrali nas do restauracji „pod trzema koronami“. Sala duża, a dla nas przyjezdnych stoły były łączone; wchodząc, po lewej stronie pod ścianą stał duży stół, przy którym goście żywo rozprawiali nad sprawą Legjonistów. Byli tam: hr. Tarnowski, ks. Andrzej Lubomirski, dr. Kwiatkowski, dr. Dwernicki, poseł Głabiński i wielu innych delegatów. Ja i p. Sawkiewiczowa siadłyśmy przy małym stole, mając widok na całą salę. Zaraz przysiedli się do naszego stołu p. Szwarcówna, p. Iżykowski, p. dr. Dwernicki i słuchali naszych spostrzeżeń, notując każde ważniejsze zdarzenie. Poseł Rady Regencyjnej, p. Popławski, nasłuchawszy się o niedoli tych nieszczęśliwych i ich umieszczeniu, poruszony do żywego losem biedaków, przyobiecał wyjechać następnego dnia do obozów autem i zaprosić do towarzystwa któregoś z austriackich dygnitarzy.

Do naszego stołu przysiadł się też p. poseł Lieberman, Łuczyński, ks. Andrzej Lubomirski, który na moje ręce złożył bilet z zarządzeniem wydania 200 kg. cukru dla chorych Legjonistów w Kołomyży. Rozmawiając z wyższymi wymienionymi osobami, mimowoli rzuciłam okiem w przeciwny kąt sali i znow spostrzegłam tego pana w żółtych sztylpach. Poprosiłam p. dr. Dwernickiego, by tam swój wzrok skierował, a gdy mu opowiedziałam całą rzecz, powiada: „To jest wywiadowca węgierski, już panie nie wróć do swego hotelu, ale gdzieindziej umieścimy was na nocleg“.

Wieczorem znow zesłaliśmy się razem, a po kolacji odprowadzili nas do jakiegoś parterowego domu, gdzie przenocowaliśmy, a o 3-ciej po północy zapukał do okna p. Łuczyński; my też zaraz wstały i wręczył nam listy od więźniów i niecenzurowane sprawozdanie z pierwszego dnia rozprawy w Marmaros-Sziget, które skryłyśmy pod gorsetem — i dalej w drogę do Kołomyży. Towarzyszył nam, rzekomo jako nieznajomy, p. Łuczyński aż do Delatyna, a w tej powrotnej drodze udawałyśmy, że z p. Łuczyńskim zupełnie się nie znamy. Na stacji Delatyn wszedł do naszego wozu, my zaś wyjmowały z pod gorsetów listy i papiery. Część listów, która miała być oddana w okolicy

i samej Kołomyi, zabrałyśmy ze sobą, zaś do innych miejscowości, jak do Stanisławowa, Lwowa, Krakowa i okolic, zabrał ze sobą kpt. Łuczyński celem doręczenia. Wziął również sprawozdanie niecenzurowane z przebiegu pierwszego dnia rozprawy Legjonistów w Marmaros-Sziget, które już 10 maja było wydrukowane w dziennikach lwowskich i krakowskich. Następne były już niedokładne, bo cenzura wykreślała zeznania, niewygodne dla rządu austriackiego. Mąż mój, Władysław Sozański, doręczył na rowerze listy do rodzin i znajomych sądzonych Legjonistów.

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku

III.

12 kwietnia (poniedziałek). Dzień bardzo brzydki; pada śnieg z deszczem.

Całe szczęście, że po południu nie było żadnych ćwiczeń — mogłem się więc wypaść. Swoją drogą przeszkadzano mi w drzemce, — jeden wygrywał na trąbce, inni ćwiczyli się w szermierce na bagnety, tupot więc był i krzyki. Szermierki uczy jeden z członków naszej szkoły, zawodowy szermierz, a przytem literat, Gnoiński. Jako literat zajmuje się dziejami wojska polskiego z czasów napoleońskich i Królestwa Kongresowego.

15 kwietnia (wtorek). Żadnej roboty nie mamy: szkoła rozpocznie się dopiero jutro.

Dziś mamy się przenieść na nową kwatere.

Byłem u doktora, bo jestem jakiś chory: głowa mię boli, kaszle, czuję ogólne osłabienie. Doktora jednak nie zastałem, mam się zgłosić dopiero jutro.

Spotkałem się dzisiaj z jednym z byłych żołnierzy legjonu wschodniego — Oleksikiem, do którego jeszcze w legjonie wschodnim odnosiłem się z wielką życzliwością. Poznał mnie, ucieszył się bardzo. Powiedział mi, że się „postarzał”. Rozmawialiśmy dalej o legjonie wschodnim i o tych, którzy spowodowali jego rozbięcie.

Po południu przenieśliśmy się na nową kwatere, na ulicę Przeborską. Kwatery jest bardzo brzydka. Pokój ciemny, wilgotny i zimny. Chciałem napalić, ale nie udało mi się. Inna rzecz, że i piec marny.

14 kwietnia (środa). Byłem u doktora i zostałem na dwa dni uwolniony z ćwiczeń. Przed południem i po południu były wykłady. I tak: sierżant Śliwiński wykladał o służbie kaprała dziennego. Po południu nie byłem na wykładzie: wylegiwałem się w tej naszej kwaterze, która jednak dziś jest znacznie lepsza niż wczoraj — napaliliśmy w niej porządnie — i dobrze nam.

W nieopisanem napięciu oczekiwałam codziennie pocztę, by przynajmniej w zarysach odczytać w dziennikach o dobrym przebiegu rozprawy. Najbardziej i najciężej obwinionym był kpt. Górecki, większą część winy chciał wziąć na siebie ks. Panaś, kapelan legjonowy, lecz Górecki przyznał się do wszystkiego co uczynił i bronił się dzielnie. Znany jest przebieg procesu. Oskarżeni żądali uwolnienia.

(C. d. n.)

15 kwietnia (czwartek). Cały dzień siedziałem w koszarach, na ćwiczeniach nie byłem.

Szkoła nasza ma być przeniesiona do Kamieńska. Dostępnym jest napływ ochotników do legjonu: druga kompanja jest znowu prawie cała.

Nadto w celu zaciągania ludzi wyjeżdżają w najbliższych dniach byli uczniowie szkoły podoficerskiej — na wieś.

16 kwietnia (piątek). Poszedłem przed południem na ćwiczenia, ale źle uczyniłem. Pogorszyło mi się.

A ćwiczenia, prócz tego, że były bardzo męczące, niczego nowego nie dały. — szkoda było chodzić.

Po południu rozdawano spodnie, bieliznę, manierki.

17 kwietnia (sobota). Czuję się źle, idę znowu do doktora.

18 kwietnia (niedziela). Rano byłem w kościele: pozatem ciągle leżę. Boli mię lewe ucho.

Nie wiadomo, gdzie właściwie będzie przeniesiona nasza szkoła: mówią, że do Piotrkowa.

19 kwietnia (poniedziałek). Jest mi już lepiej, ale na ćwiczenia jeszcze nie idę. Z utęsknieniem czekam chwili, kiedy będę mógł z całą energją wziąć się do pracy.

Inna rzecz, że dotąd pracy porządnej niema.

Bawimy się więc w politykę.

Mówił mi dzisiaj Oleksik, że kawalerja nasza z Węgier przyjechała do Piotrkowa.

20 kwietnia (wtorek). Zychliński dostał na ćwiczeniach krwiotoku z ust. I po powrocie krew szła mu co chwila. Sprawdzono do niego lekarza, kazał mu łód jeść i lekarstwo jakies zażywać, co dwie godziny.

21 kwietnia (środa). Poszedłem na ćwiczenia, jakkolwiek nie jestem zdrow. Nie mam zupełnie apetytu. W ustach czuję wstrętny niesmak.

Naprzód była gimnastyka, której uczy ks. kapelan.

Przyjechał z Węgier pułk 5. Po południu był wykład o broni.

22 *kwietnia* (czwartek). Przed południem ćwiczenia, jak zwykle. Po ćwiczeniach czyściłem karabin, a karabiny mamy bardzo ładne — zgrabniutki „greci” (karabiny greckie).

Dostałem kartkę od znajomych p. Lachowiczów.

25 *kwietnia* (piątek). Przed południem ćwiczenia, a więc gimnastyka karabinami, potem musztra. Po południu wykłady: o teorii strzelania, o terenoznawstwie.

Chorąży Szczepański, który wykłada terenoznawstwo, nudzi nas okropnie. Czekamy zawsze tylko chwili, kiedy kucharz oznajmi, że herbata już gotowa.

24 *kwietnia* (sobota). Dzień śliczny. Radość w twojej duszy i spokój. Wiosna wszędzie.

Skowronki śpiewają nad twoją głową... Wiosna.

I dla narodu naszego — wiosna...

Zwycięstwo będzie nasze; i pójdziemy w przyszłość silni, mocarni, piękni. Wielka przyszłość czeka nasz naród.

Po południu znowu ćwiczenia.

Ćwiczymy się w ładowaniu broni — i ponownie stwierdzić muszę, że karabiny greckie są śliczne.

Na ćwiczeniach był obecny podporucznik Jeziorański. Komendant szkoły, podpor. Modelski, chłop nad wyraz sympatyczny, powiedział nam, że w poniedziałek idziemy do Kamieńska.

25 *kwietnia* (niedziela). Byliśmy w kościele; po południe wolne.

Dzień śliczny; wspaniale rozwijają się pączki na drzewach.

Ostatnią zatem niedzielę spędzamy w Radomsku. Spędziłem tutaj kilka pięknych tygodni.

Wieczorem pakowałem się. Mówiono, że w nocy będzie alarm, ale na szczęście nie był.

26 *kwietnia* (poniedziałek). Przed południem ćwiczenia. Swoją drogą więcej odpoczywaliśmy, niż ćwiczyliśmy. Słońce grzeje coraz silniej.

Zaraz po obiedzie zbiórka w pełnym rynsztunku.

O godzinie 5-tej zjedliśmy wieszak, — dostaliśmy prócz herbaty z rumem i chleba, także ładny kawałek szwajcarskiego sera.

Zbiórka.

Stoję dwa plutony na ulicy. — śpiewamy.

Wokół skupiła się gawiedź. — myślą, że ruszamy już na pole walki, a my tymczasem idziemy do Kamieńska.

Pochód prześlizgnął.

Śpiewamy wesoło.

Okolo godziny 9-tej zbliżamy się do Kamień-

ska. Zdaleka doleciały czyste, prześliczne dźwięki trąbki, grającej „Modlitwę”.

Tę z szkoły podchorążych.

I leciał głos trąbki — rzewny, śliczny, jakby z serca dobyte, — w tę cudną, księżycową noc...

Sluchaliśmy z zapartym tuhem.

27 *kwietnia* (wtorek). Kwaterę mamy w fabryce giętych mebli. Fabryka naturalnie stoi. Kwatera jest dobra.

Wielka sala, widna, jasna — światło wpada przez górne okna; zaraz obok fabryki — las.

Będziemy więc tu teraz pedzić życie.

Przed południem mieliśmy niby ćwiczenia; piszę „niby”, bośmy ciągle odpoczywaliśmy.

Zdaleka widziałem wieżę kościoła w Kamieńsku, do którego jest coś trzy wiorsty drogi od naszej kwatery.

Są tu wille, stojące po obu stronach piaszczystej drogi; tuż obok lasy iglaste.

Mówią, że Włochy wypowiedziały wojnę Austrii; a wczoraj wspominał Oleksik, że przez Kamieńsk przejeżdża pociąg z pociągami z wojskiem austr. w stronę Krakowa.

28 *kwietnia* (środa). Przed południem ćwiczenia. Uczono nas padać i czołgać się. A potem były ćwiczenia kompanji, prowadzone przez podpor. Jeziorańskiego.

A więc „kolumna”, „szyk rozwinięty” — potem tyraljerka — „dwa plutony w tyraljerce, jeden w rezerwie” i t. d.

Szkoła nasza liczy już trzy plutony. Po południu wykłady: i tak Jeziorański wykładał nam o historycznym rozwoju szyku bojowego. Drugi wykład miał Szczepański, o metodach powiększania mapy.

Uczynmy się więc. Siedzimy, jak grzeczne dzieci w ławkach szkółki początkowej i przypominamy sobie zielone lata. Przez okna zagląda Oleksik i salutując oznajmia, że wieszak już gotowa.

Wieczorem chudziłem na przechadzkę — wolny mamy do godz. 9-tej.

29 *kwietnia* (czwartek). Przed południem, jak zwykle, ćwiczenia.

Plutonem dowodził dzisiaj Danielkiewicz, strzelec z Krakowa. Był w Kielcach, w bitwie pod Czarukową — chłop bardzo miły.

Ćwiczenia, dosyć męczące, trwały do godz. wpół do dwunastej.

Po południu uczył nas chorąży Szczepański rysowania szkiców i męczył nas, co się zowie.

W dzisiejszym rozkazie co słowo powtarzało się „c. k. komenda legjonu”. Smutno człowiekowi.

Dostałem dzisiaj list od Mamy — i jakaś melancholia mnie opanowała. A smutku i rozdrażnienia nie zdołały rozprószyć nawet chwile spędzone z jednym z dobrych kolegów — Bobolkiem, w porządnej i milej mleczarni, gdzie wypiliśmy po szklance kawy i zjedliśmy kilka ciastek.

Dopiero po przeczytaniu w „Wiadomościach Polskich“ listu ks. biskupa Bandurskiego do „Związku Chłopskiego“ — odzyskałem równowagę duchową.

50 *knietnia* (piątek). Dźwięczały mi ciągle w uszach słowa listu Matki:

„Mój Boże! Ile ja smutku przeczyłam, ile łez wylałam z tęsknoty i niepokoju o Was“.

Mieliśmy w nocy alarm: cała szkoła i druga kompanja. bo ta jest już w „Wojciechowie“ (nazwa fabryki) stanęły w pełnym rynsztunku — i pochód w las.

Stauęły mi żywo przed oczyma partyzanckie pochody powstańców z r. 1865.

Szliśmy w księżycową noc, po piachach.

„Wycieczka“ była bardzo męcząca.

Wstaliśmy wobec tego o godzinę później. to zn. o 6-tej. Przed południem, jak zwykle, ćwiczenia. Po południu wykład chorążego Szczepańskiego. Do naszej szkoły zawitał komendant bataljonu Galica.

Wszedł w otoczeniu oficerów do sali wykładowej, rozmawiał bardzo uprzejmie z chorążym Szczepańskim, oglądał plan naszych kwater, potem odszedł ze strzeleckim pozdrowieniem „Cześć!“.

Dziś spisano wszystkich tych, którzy pochodzą z Sosnowca — a jest ich dosyć — i kazano im przygotować się do odjazdu.

Komendantem plutonu pierwszego jest Jeziorański, drugiego Szczepański, trzeciego Robel.

1 maja (sobota). Miesiąc maj.

Przed południem, po krótkich ćwiczeniach — wykład podpor. Jeziorańskiego o marszach.

Podporucznik Jeziorański jest prawdziwym żołnierzem. żołnierzem w każdym ruchu, słowie, nawet spojrzeniu. Młody jest jeszcze — lat może 25 — i ta młodość przebija wyraźnie w rysach jego twarzy.

Ale młodość ta, a obok niej jakaś szlachetna uprzejmość, nie są jedynym wyrazem twarzy podpor. w oczach, w ściągnięciu brwi, nawet w zmarszczkach, które biegają pod oczyma, znać niezwykłą energję; dalej spokój, opanowanie się zupełnie i zimną krew.

I dziwnie pociągająca jest ta młoda, a pełna szlachetnej męskości twarz, ozdobiona małymi, rudawymi bokobrodami. Wzrostu jest podpor. Jeziorański średniego, średniej budowy ciała, ale ciało to zahartowane jest w trudach wojennych.

W służbie jest Jeziorański wymagający — i to bardzo, ale poza służbą postępuje z żołnierzami jak z kolegami. Częstoje papierosami, wczoraj w marszu to nawet pomarańcza, rozmawia z nimi swobodnie. Jest to prawdziwy oficer polski.

(C. d. n.)

JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Po dwumiesięcznej pracy w tak ciężkich warunkach, większość zapadła na ciężkie choroby, z których część zmarła i została pochowana w lesie, zaś część odesłana do szpitala w Tarze. Pozostała reszta pomimo protestów i próśb, kierowanych ustnie do miejscowej administracji bądź też pisemnie do władz w Tarze i Omsku, skazana była w dalszym ciągu na zagładę, gdyż władze rosyjskie na prośby jeńców zasadniczo nie odpowiadały.

Widząc, że w dalszym ciągu warunkom tym podołać nie zdołamy, postanowiliśmy po długich naradach urządzić bunt, odmawiając pracy. Na domiar złego już przy końcu września spadły obfite śniegi i mrozy.

Ubranie nasze składało się formalnie z samych łachmanów, starych jeszcze mundurów austriackich, gdyż w niewoli nie dawano nam żadnej odzieży. Zasypane drogi potężnym śniegiem odcięły nas zupełnie od reszty świata, uniemożliwiając dowóz prowiantów, wskutek czego głód począł nam dotkliwie dokuczać.

Te już nie do zniesienia warunki były właśnie powodem zorganizowanego buntu, który miał na celu walkę o polepszenie bytu lub też ewentualne wysłanie nas do Omska. Po zorganizowaniu się naszej partji, złożonej teraz zaledwie ze stu ludzi, gdyż większa część bądź wymarła lub też leżała chora w szpitalu, w jeden poranek odmówiliśmy wyjścia do pracy. Kierownictwo fabryki na spółkę z naszą strażą próbowało wszelkich sposobów przelamania naszego oporu, a widząc, że wszelkie dyplomatyczne środki zawiodą, uwięzili nas w barakach. Zmagania te trwały przez cały tydzień i wszyscyśmy bez wyjątku zachowywali solidarność. Po tygodniu oprawy nas widząc, że nie dadzą sobie z nami rady i bojąc się, byśmy nie wystąpili czynnie i nie wybili ich do nogi — wysłali raport do komendanta Tary, donosząc o naszym buncie. Trzeba nadmienić, że duszą całej naszej organizacji było dwóch Polaków i dwóch Czechów, o czym wiedzieli nasi przesładowcy i grozili nam, że w myśl prawa wojennego zostaniemy oddani pod sąd polowy, a nastę-

nie skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie. Tak to nad naszą czwórką, do której i ja należałem, zawisła czarna chmura.

Niebawem nadszedł z Tary rozkaz dostawienia nas pod silną eskortą do miasta. Czwórka nasza, wiedząc co ją czeka w razie przybycia do miasta, uplanowała ucieczkę. W tym to celu podczas noclegu w drodze powrotnej do Tary zaopatrzyliśmy się w niezbędne do ucieczki ubrania cywilne.

Na drugą noc, podczas postoju w następnej wsi, nasi dwaj Czesi, poźegnawszy się z nami, w wielkim sekrecie przed innymi jeńcami zbiegli w jedną stronę, ja zaś ze swym partnerem po poprzodniem przebraniu się wyruszyliśmy na wynajętych saniach, podając się za internowanych cywili, brzegiem rzeki Irtysz w kierunku południowym. Dobrnawszy szczęśliwie do Tary, zastaliśmy tutaj na nasze szczęście dwa parostatki, przygotowane do wyruszenia do Omska celem remontu. Statki to były ostatnie, gdyż nawigacja dawno się skończyła. Korzystając z ciemności nocy, podczas której przybyliśmy, po poprzodniem zaplaceniu za przejazd saniami, przebrani — mundur wojskowy utopiliśmy w Irtyżu — podkradliśmy się cichaczem do przystani, a ukrywaliśmy się pomiędzy próżnymi beczkami, zaczęliśmy się naradzać nad dalszym planem ucieczki. Uradziliśmy, że dalsza nasza podróż odbywać będziemy oddzielnie. Ogólny nasz kapitał, wynoszący 54 rubli, rozdzieliliśmy pomiędzy siebie po połowie i poźegnawszy się gdy już zaczęło świtać, ruszyliśmy celem zatarcia śladu każdy w przeciwną stronę.

Statek, na którym ukrył się mój towarzysz, wyruszył o godzinie dziesiątej rano. Nieznacznie przestaliśmy sobie pozdrowienie ręką i od tego czasu mego towarzysza więcej nie widziałem.

Ja urządziłem się na drugim parostatku, który odplynał o godzinie jedenastej rano. Los widocznie, napastwiwszy się nademną, zaczął mi cośkolwiek sprzyjać, dzięki czemu po trzech dniach podróży stanąłem bez szczególnych przygód w Omsku.

Tam urządziłem się na peryferjach miasta, pod przybranem nazwiskiem uciekiniera z Królestwa Polskiego. Po dwutygodniowym siedzeniu w Omsku, zacząłem cichaczem wychodzić na miasto. Zdołałem się dostać do komitetu polskiego, gdzie po kilku dniach poczyniłem pewne znajomości z tamtejszymi Polakami, którym zwierzywszy się w końcu ze swego utrapienia, uzyskałem ich pomoc w postaci dokumentu, opiewającego na nazwisko pewnego Polaka, zwolnionego z wojska. Otrzymana w tej formie pomoc była dla mnie najpotrzebniejsza, ponieważ mając już papiery, mogłem się swobodnie poruszać po mieście i rozglądać się o jakie miejsce. Po kilku dniach poszukiwania udało mi się uzyskać pracę w war-

sztachach komitetu wojennego w charakterze mechanika.

Teraz, po przebytych trudach i nędzy, poczęło mi płynąć życie znośne, a nawet dostatnie. Zapotrzebowanie sił fachowych było bardzo wielkie z powodu ogólnego braku mężczyzn, przeto praca moja była należycie wynagradzana, dając mi możliwość prócz opędzania niezbędnych potrzeb, odkładania także pewnej sumki na czarną godzinę.

Miasto Omsk, jakkolwiek oddalone od naszych stron daleko, robi nienajgorsze wrażenie. Położone nad rzeką Ob przy linii kolei żelaznej, posiada dość przyzwoite budynki, z których pewne nazwać można nawet gmachami. Dobrobyt tam kwitł również, jak zresztą na całym obszarze Syberji. Miasto zamieszkują przeważnie bogaci kupcy, przemysłowcy oraz sfery urzędnicze, a tak jedni jak i drudzy mieli w swem gronie licznych Polaków.

W śródmieściu znajdował się kościół polski, wybudowany w stylu gotyckim, gdzie co niedzieli na nabożeństwo schodziła się cała Polonja, która po skończonych ceremonjach kościelnych urzędzała formalne wiece, komunikując sobie wzajemnie najświeższe wiadomości bądź z terenu działań wojennych, bądź też z Polski.

Prócz licznej ludności cywilnej, w Omsku stała oblrzymia załoga wojskowa wszystkich niemal rodzajów broni i szkoła oficerska. I tutaj również Polacy byli w pokażnej liczbie.

Generał-gubernatorem okręgu omskiego był Suchomlinow, będąc zarazem po carze największym w tym kraju władcą. Była to nader ważna figura, która przejeżdżając przez miasto budziła pośród ludności cywilnej ogólny szacunek, zaś pośród żołnierzy paniczny strach. Najmniejsze uchybienie w dyscyplinie karane było przez tego wszechpotężnego władcy niemiłosiernie, to też żołnierze, widząc już zdaleka przejeżdżającego gubernatora, chowali się czemprędzej.

Życie moje w Omsku w okresie od 1916 do początku 1917 roku było stosunkowo jak na jeńca bardzo dobre. Zrzuciwszy raz z siebie przekłętę jarmozę jeńca wojennego i nie chcąc powtórnie wejść w tegoż skórę, wyteżyłem całą swoją siłę, celem przystosowania się do warunków życia w Rosji, co też w stosunkowo krótkim czasie udało mi się w zupełności. Głównym atutem w mem rękę był język rosyjski, który opanowałem całkowicie w przeciągu kilku miesięcy, mogąc go używać swobodnie bez najmniejszego podejrzenia ze strony czujnych psów policji, którzy pod rozmaitemi postaciami kręcili się we wszystkich kierunkach. Mieszkanie zajmowałem przy inteligentnej rodzinie, która uważając mnie za uciekiniera z Polski, okazywała mi na każdym kroku wiele sympatji, obchodząc się ze mną jak z najlepszym przyjacielem lub krewnym. Jednem słowem, czułem się podówczas dobrze. Jednakże bez-

litosny los, pozostawiwszy mnie przez pewien czas w spokoju, przypomniałszy sobie widocznie moją osobę, począł w dalszym ciągu płać mi figle.

W ponury poranek marcowy wyruszyłem jak zwykle do swoich codziennych zajęć. Nie dochodząc jednakże do centrum miasta, uwagę moją zwróciły na siebie oddziały wojska, maszerujące w pewnym określonym kierunku, niosąc na przedzie czerwone sztandary. Uradowane żołnierskie twarze, swobodne podczas marszu ich ruchy, zastanowiły mię, gdyż wzrok mój przy widoku wojska był przyzwyczajony do zgoła innego obrazu pod względem dyscypliny. Także zdziwiło mię, że pomimo późnej już godziny, sklepy i inne lokale były pozamykane, a ludności cywilnej zupełnie nie widać, chociaż dzień to był powszedni. Doszedłszy do centrum miasta, zobaczyłem masy wojska i odświętnie ubranej ludności cywilnej, udekorowane budynki i tutaj dopiero dowiedziałem się o abdykacji cara Mikołaja II i objęcia rządów przez t. zw. „Uczreditelnoje sobranie“ czyli innymi słowy, że w całej Rosji szaleje rewolucja, znosząc rządy absolutne caratu. Aczkolwiek przewrót w Omsku dokonany był gwałtownie i bez najmniejszego krwi rozlewu, niemniej jednak nowi władcy nie omieszkali zabezpieczyć całości swych rewolucyjnych rządów przez aresztowanie wszystkich poważniejszych siepaczy carskich, jak generałów, komendantów, członków „ochrani“ i policji, w tej liczbie i samego gubernatora Suchomlinowa. Tym sposobem ci wielcy dygnitarze wprost ze swych luksusowych pałaców powędrowali do celi więziennej.

W pierwszych dniach rewolucji panował bezwzględny ład i spokój, lecz już w krótkim czasie dało się zauważyć na licznych mityngach i zebraaniach, że aczkolwiek sytuacją kieruje partja socjalistów-rewolucjonistów „mieńszewików“, jednakże ma ona licznych przeciwników w partji drugiej, zwaną „bolszewikami“. Pierwsza złożona z ludzi inteligentnych, dbająca o naród i całość swej ojczyzny, dążyła do dalszego prowadzenia wojny z Niemcami aż do „pobiedonostnaho końca“, druga zaś partja, złożona prawie z samych szumowin i ludzi żerujących na każdym zamieszkał, kierowana przy tem agentami niemieckimi, miała na celu niezwłoczne zawarcie pokoju, chociażby to miało być połączone dla Rosji z poważnymi stratami. Na wiecach, odbywających się po kilka a nawet po kilkanaście razy dziennie, przychodziło do ostrych starć pomiędzy dwiema temi partjami. Patrząc na to rozdwojenie się, ludzie świadomi smutnie kiwali głowami, przepowiadając, że źle się to skończy. Dalsze wypadki pokazały, że się przewidywania te były w wysokim stopniu trafne.

Na czele obecnego rządu stał były minister carski Kiereński, osobistość powszechnie znana i poważana, mająca ponadto nieprzeliczone rzesze

zwolenników. Człowiek ten, jak dochodziły wieści, po ujęciu steru rządu w swe ręce, potrafił już w samym początku utrzymać ład i porządek bez użycia teroru, mowy zaś jego wygłaszane do wojska i ludności, robiły na słuchaczach olbrzymie wrażenie. I tak, gdy Kiereński na froncie w małym oddaleniu od pozycyji nieprzyjacielskich po dłuższej przemowie do żołnierzy chwycił znajmie pułk, kierując się do ataku na okopy niemieckie, wszyscy żołnierze jak jeden mąż ruszyli za nim z entuzjazmem do szturm, odnosząc świetne zwycięstwo nad nieprzygotowanym na taki czyn rewoltowanych Rosjan wrogiem. Jednakże to były tylko piękne momenty początków rewolucyji, które nie mogły podtrzymać stale ducha w zdemoralizowanych szeregach i dotkniętej gangreną rewolucyji tej niegdyś świetnej armji rosyjskiej.

Kiereński, podtrzymując nadal swą politykę prowadzenia wojny, wydał niezwłocznie szereg rozporządzeń natury wojskowej i w tym celu też zarządzona została nowa mobilizacja. Ja zaś, mając dokumenty wystawione na nazwisko Józefa Sieczkowskiego z Warszawy, uchodziłem powszechnie za poddanego rosyjskiego, a posiadając też biały bilet, chroniący mię od jakiegokolwiek styczności z wojskiem za czasów poprzednich rządów, obecnie chcąc nie chcąc w myśl nowych rozporządzeń musiałem się stawić do komisji poborowej. Otóż z końcem maja zostałem wezwany przez milicję do stawienia się przed komisją lekarską, gdzie po zbadaniu uznano mię za zdolnego do służby wojskowej, a nawet połowej i wcielono mię do szeregów armji rosyjskiej. Tym to sposobem z deszczu wpadłem pod rynię, z jeńca wojennego uczyniono mię żołnierzem państwa, przeciw któremu niegdyś walczyłem. Jakkolwiek położenie moje było dość trudne, jednakowoż przy pomocy moich znajomych postanowiłem poruszyć wszelkie możliwe sprężyny, celem choćby chwilowego oddalenia od siebie pójścia na front. Jak się to później okazało, było to stosunkowo nie trudne, albowiem w tym kraju łapówek, za pieniądze można było wszystko uzyskać. W tym celu, po poprzednim przygotowaniu gruntu, udałem się do jednego z urzędników wojskowych, który czuły na metaliczny uścisk dłoni, otrzymawszy odemnie podziękowanie w postaci trzydziestu rubli, zamiast wysłania na front przydzielił mię do wojskowych warsztatów rusznikarskich. Jednakże i tutaj popasać długo nie mogłem, ponieważ nowy rząd zwracał wyjątknie baczną uwagę na wszelkiego rodzaju markierantów, wysyłając ich niezwłocznie na front. To też po parutygodniowym pobycie w warsztatach, zostałem ściągnięty i przydzielony do piątej armji, zaś następnie wysłany na pozycję. Powtórnie poczynione próby, celem wywinięcia się, spełzły tym razem na niczem. Pozostała mi jedynie ucieczka, to też nie dając jeszcze za wygrane — wyjeżdżając eszelonem na front

już jako żołnierz rosyjski w mundurze i odznakach — nie omieszkałem spakować do swej walizy ubranie cywilne. Pożegnawszy się ze swymi znajomymi, a zwłaszcza ze starszą gospodynią, która błogosławiąc mię na drogę, wylewała całe

morze łez, udałem się na stację kolejową wraz z innymi żołnierzami i po sformowaniu eszelonu, przy dźwiękach muzyki wojskowej i okrzykach żegnającej nas ludności cywilnej — opuściliśmy Omsk

(C. d. n.)

Krwawe zdarzenie w Zegrzu

Zimą 1917 roku pułki legionowe przepędziły na tyłach w kraju. Pułki trzeci i czwarty stały wówczas w Zegrzu, jako druga brygada, pod dowództwem pułk. Hallera.

Był to okres tak zwanego przeszkolenia, czyli Legiony przeszły na etat niemiecki, przyjęły regulaminu musztry i uzbrojenie niemieckie.

Szkolenie odbywało się w szybkim tempie. Pobudka była o godz. 5-tej, potem ćwiczone cały dzień na polu, nad brzegami Narwi, z przerwą obiadową, pomimo silnych mrozów. Po kolacji odbywały się wykłady przy świetle lamp karbitowych do godz. 9-tej.

Wyjście poza obręb koszar było niedozwolone. Nawet w niedzielę. Wyjątkowo tylko za przepustką żołnierze wychodzili. Wikt był niedostateczny i niesmaczny. Żołnierz otrzymywał zmniejszone porcje chleba, tj. jedną trzecią, a później jedną czwartą część bochenka, z różną domieszką mąki, kasztanów, słomy mielonej, lub drzewa.

Kuchnia była zbiorowa, jedna na kilka kompanij, a co najmniej na jeden baon. Tam gotowano w jednym dużym kotle kaszę z ziemniakami i owocami suszonymi, lub brukiew z marchwią i rybę morską. Zamiast porcji mięsa, dwa lub trzy jajka, a przez dwa dni w tygodniu śledzie. Kawa stale bez cukru. Często gotowano naraz kilka dań w jednym kotle.

Brygada dostała instruktorów z armji niemieckiej, na każdą kompanję po jednym podoficerze lub więcej, a do baonu oficera. Takich instruktorów dostali kucharze i oddziały pomocnicze.

W tych samych koszarach mieściła się kompanja wartownicza Niemców i oddział telefonistów. W obrębie koszar znajdowała się piekarnia wojskowa, pod zarządem i dozorem Niemców. Pracowali tam także cywile. W Górnym Zegrzu — po

drugiej stronie Narwi — mieściła się kadra artylerji pruskiej i piechota na wyszkoleniu.

Pewnego razu, z końcem marca, żołnierz legionista z 5-go pułku kupił chleb od cywila, robotnika piekarni. Robotnicy otrzymywali chleb i menaż. Żołnierz ów wracał do koszar, wcale się z tem nie kryjąc, chleb trzymał pod pachą. Posterunek, żołnierz niemiecki, zoczywszy go, zawołał „halt“. Legionista nie zatrzymał się jednak, niewiadomo czy przez upór, czy też nie rozumiał, że do niego się to odnosi. Po powtórnem wołaniu, pał strzał i legionista padł przeszyty kulą na wylot. Dostał w plecy.

Dojrżeli to czwartacy ze swych koszar, a oburzeni tem do żywego, rzucili się na wartownika. Jeden z czwartaków wpadł do koszar trzeciego pułku i krzyknął: „waszych ludzi prusaki mordują a wy nie!“.

Ktoś tam krzyknął „za karą“ i w sekundzie po schodach zbiegło kilkudziesięciu żołnierzy, wpadło na pędzącą wartę, która zaalarmowana strzałem, stanęła od broń. Przybiegło jeszcze kilku prusaków od fasunku węgla, telefonisci i wywiązała się bójka. Nadbiegły oficer niemiecki został powalony do śniegu. Oficerowie legionowi byli właśnie przy menaży. Gdy tam doszło echo bójki, wypadł podpułkownik Galica bez czapki i broni i pędząc, zdała już krzeczła: „Stać! Co robicie? Jeszcze nie teraz! Stać!“.

Słowa te działały magnetycznie. Legionisci bójkę przerwali. W tej samej prawie chwili zjawil się bryg. Haller i zarządził alarm, dosiadł konia i wyprowadził brygadę w las do Nieporętu.

Niemcy w Górnym Zegrzu mieli również alarm, obsadzili przyczółek mostowy Narwi i wytoczyli armaty na pozycje. Następnego dnia, po całonocnych ćwiczeniach, pułki wróciły do koszar. Pobity wartownik niemiecki zmarł w szpitalu w Warszawie. A. Maj.

Ci, którzy odeszli

Na zew Komendanta ruszyła z ognisk domowych młodzież w szeregi legionowe czy to I-szej Brygady — Piłsudczyków, czy też II-giej — Karpackiej. Zbiegiem okoliczności, wywołanej zawieruchą wojenną pierwszych dni sierpnia 1914 roku,

nie danem nam było dzielić swych losów w jednej Brygadzie; dwóch nas ruszyło z I Bryg. do Królestwa, średni zaś brat, Ludwik, w II Brygadzie 13 kompanji „sądeckiej“ brał udział w bojach karpackich. Jako 16-letni chłopiec dzielnic się trzyma

i znosi trudy bitewne walk, jakie staczała II Bryg. w Karpatach w tak trudnych warunkach terenowych. Aż nadszedł dzień 29 października 1914 r. Legjoniści, napierani przez stokroć liczniejszą piechotę rosyjską i kozaków, w zaciepłej obronie walczą w okolicy Sołotwiny, Żurak, Babczego i Staruni. W nierównych walce dziesiątki legjonistów poległo, wielu straciwszy orientację w lasach, dostało się w ręce kozaków: byli i tacy, którzy w odwrocie nie zdoławszy połączyć się z oddziałami, ostrzeliwując się z chat wieśniaczych — ponieśli śmierć z rąk kozactwa. W Żurakach, ukryty w stogu siana, *Ludwik Koszyk* wraz z drugim legjonistą i chłopcem z tejże wsi, strzelając do kozaków, zostali osaczeni i żywcem spaleni w stogu. Po ustąpieniu ze wsi kozaków, ludność miejscowa pochowała zwłoki obydwu legjonistów na wiejskim cmentarzyku, kładąc ich do wspólnej mogiły wraz z owym chłopcem, który dzielił ostatnie chwile życia z żołnierzem - legjonistą.

W zaraniu bojów zginął, nie doczekawszy się ziszczenia swych marzeń, połączenia się z nami w I Brygadzie — o czym tyle razy wspominał swym kolegom z szeregu. Mijały lata, mogiły legjonistów, rozsiane po cmentarzyskach, polach, lasach i przydrożnych rowach, porośnięte ruiną, opuszczone, bez śladu krzyży czy głazów, którymi były znaczone, zaczęły zrównywać się z ziemią i niedługo znikłyby z powierzchni, rozorane wiosenna orką czy siłą zapomnienia, gdyby nie szlachetna inicjatywa ludzi dobrej woli, którzy powoławszy komitet Bohorodczańsko - Sołotwiński, postanowili rozrzucone kości legjonistów z Żurak, Sołotwiny, Babczego i Staruni sprowadzić do wspólnej mogiły w Sołotwinie i wzniesić im pomnik — grobowiec na wieczną czasa pamiętak.

Dnia 25 września 1927 r., w przepiękny słoneczny ranek, Sołotwina przybrała odświętny wygląd — w tym to dniu ekshumowane zwłoki szarych piechurów-legjonistów zostały złożone w dostojnej mogile. Akt poświęcenia grobowca poprze-

dziła msza św., odprawiona na polach nadbystrzyckich. Uroczysty ten dzień zgromadził tysiączne rzesze ludności Sołotwiny, Bohorodczan, Stanisławowa i okolicznych wiosek. Wśród obecnych byli przedstawiciele Rządu, Armji, szwadron 6 p. Ułanów Kaniowskich z poczem sztandarowym. Starosta bohorodczański, przedstawiciele Władz samorządowych, liczne delegacje pułków wojskowych, Związek Legjonistów, Strzelców i Oficerów Rezerwy ze Stanisławowa, Polskie Towarzystwo Sokół, harcerze, delegacje młodzieży szkół średnich i wiele, wiele innych. Podczas mszy polowej, odprawionej przez miejscowego proboszcza ks. Walczaka, płonienne kazanie wygłosił ks. kanonik Bakowski z Łyśca — poczem ruszył pochód żałobny ku mogile. Po poświęceniu mogiły, przemówili do zebranych ks. Panaś, były kapelan II Brygady, pułk. Łukowski, dowódca 11 dywizji, prof. Wolańczyk, delegat Sokoła, prezes Zw. Legj. w Stanisławowie Henisz, p. Rogujski, burmistrz Sołotwiny i Wł. Koszyk, b. legjonista, brat poległego śp. Ludwika. Podczas uroczystości przygrywała orkiestra 48 p. ze Stanisławowa. Podniosłą uroczystość zakończyła defilada ulanów naszych, związków i delegacji przed władzami wojskowymi. Nazwiska poległych legjonistów, złożonych w grobowcu, wyryte zostały na pomniku jak następuje:

Guzdek — Rogala Władysław, Bończak Jan, Bielecki Jakób, Biechoński Jerzy, Duljan Teodor, Krupka Józef, Krzemieniecki Józef, Krzysztoń Artur, Lasota Tadeusz, Płonowski Kazimierz, Stańczyk Julian, Roman Jan, Tomera Aleksander, Więckowski Edward, Zaiac Antoni, Lioka Henryk, Pracik Eugenjusz, Schön Leopold, Mirek Stanisław, Koszyk Ludwik, Kotarba Julian, Krupka Czesław, Panek Piotr, Wróblewski Józef, Pacura Jan, Ostrowski Tadeusz, Heyda Kazimierz, Horwath Karol, Bromberg Jerzy, Jędrzejewski J., Upka Henryk, Konzar Jan, Ostrowski Adolf.

Wład. Koszyk-Bartosz.

RAFAŁ HIRSCH.
weleran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Pierwsze strzały dosięgły nas w powiecie Hrubieszowskim, gdzie w jednej wiosce awangarda nasza natknęła się na grupę kozaków. Po alarmowym strzale, podążyliśmy naszym w sukurs — lecz kozacy przylgnęli do kulbak i dmuchnęli jak wicher od nas.

Od pory tej byliśmy ścigani i niepokojeni. Zadaniem dowództwa naszego było demonstrować, że powstanie trwa nieprzerwanie. Wszystkie inne oddziały, które my spotykali, choćby w ilości nie

wielkiej, piechoty nie miały — więc mogły się przemycić szybciej z miejsca na miejsce.

Tak zetekłmśmy się z grupą powstańców pod dowództwem Karolego, Lutyńskiego i Wróblewskiego. Oddział nasz był imponujący, miał silną piechotę.

W dzień wigilji Bożego Narodzenia dostaliśmy po połowie bochenka chleba nadzianego kaszą hreczaną, przysmażoną cebulą, pieprzem i olejem, po kwaterce gorzalki i po całym niemozo-

nym śledziu. W Lubelskiem ludek tamtejszy częstował nas potrawami, kutią z nieopychanej pszenicy i zamiast z miodem, z pieprzem. Była to ich, jak mi opowiadał, kutia wigilijna. Wiem, że marne były ich strawy, nie podobne do galicyjskich muzyków ruskich i że w siole tem nie było dobroci — a żeśmy dostali po 50 sztuk papierosów, więc z wdzięczności za szczerą gościnność podzieliłiśmy się niemi.

Bitwy z przeważającymi siłami wojsk rosyjskich unikano — chociaż znudzona młodź żołnierzyków ochoczo do tego się rwała.

Każdy dwór i jego właściciel, lub też administrator majątku, jak i sołtys, lub też ksiądz miejscowy, byli powiadomieni przez żandarmów naszych, kiedy oddział powstańców, gdzie miał i był zmuszony się rozłożyć na odpoczynek.

Kwaternistrze, wysłani z oddziału, czy to zastali właściciela lub też właścicielkę dworu, bądź sołtysa lub księdza, brali ich pod bagnety. Ich obowiązkiem było zabezpieczyć oddział nasz od naglego a niespodziewanego napadu.

Aresztowani natenczas dodawali do wedet naszych zaufanych swoich ludzi — odpowiadali bowiem srogościom wojennych zwycięzów — lub też ściganiem winnych przez snujących się w przebraniu naszej tajnej żandarmerji.

Rocznice powstania Styczniowego odbyliśmysolemnie i z nabożeństwem mszy polowej w rynku miasteczka Hły. Trzy oddziały powstańcze ścignięto razem na ten uroczysty obchód, a to: Karłego do 80 ludzi, Lutyńskiego do 40 i oddział Jagmina całość około 150 ludzi. Ryłskiego do 25 ludzi i grupę Cwieków, zwabionych z jarów leśnych do 50 ludzi. Ci ostatni pod dowództwem dzielnego oficera, gdyż pułk. „Cwiek“ już ich był opuścił, mieli się utrzymywać z rekwizycji, pojawiając się od czasu do czasu to tu, to tam. Przydzieleni oni zostali do naszej piechoty. Odbywałem z nimi kampanje. Ubrani byli w burkach z kapturami lub też w baszlikach na głowie. Karabiny jak i strzelcy wypróbowani, pierwszej klasy — lubiłem przypatrywać się im. Była to przeważnie grupa samych dezertersów wojsk rosyjskich, austriackich i pruskich.

Jedenaście miesięcy tkuli się po oddziałach i biją się w tym stanie walki i nędzy dzielnie i odważnie.

Po odbytem nabożeństwie i kazaniu, odbyła się defilada przed sztabem i dowódcami; był także obecny major, delegowany ze sztabu gener. Kruka, który operował natenczas w gubernji Gródzieńskiej. Mieszkańcy miasteczka urządzili nam fetowanie, a po południu rozeszli się oddziałami na wsze szlaki.

Major Jagmin zachorował, po nim dowództwo objął nad naszym oddziałem major Ryłski.

Pochód odbywał się zwartym lasem. Na przedzie furgonów maszerowała nasza piechota, przed piechotą sztabów, przed nimi dwa plutony jazdy i o jakich kroków 400 wyprzedzała szpica awangardy, ze zwykłym przewodnikiem, który wskazywał nam wytyczną drogę naszego marszu.

Naczelnik nasz, major Ryłski, zaniemógł — a major Lutyński się zjawił i objął dowództwo naszego oddziału. Major Lutyński nie długo dowodził Jagmińczykami po Ryłskim. Srogi bezwzględnie w postępowaniu z podwładnymi, ścisłą dyscyplinę utrzymywał nad oddziałem, na modłę pruską. Był pomurny, dobrze zbudowanym mężczyzną, twarzy bladej, czarnym porostem okoloną, jak na dowódcy partyzantów wybrany.

Ludzie byli już znękani. Las i knieje — śnieg za poduszka i całe poślanie. Jadło strawy nigdy nie plukane — studzień nie szukano, wodę do gotowania topiono ze śniegu, czy śnieg był czysty, nie przebierano, ze szpilkami drzew sosnowych bądź też drzew liściastych.

Strawę po największej części baraniną zbywano — świeżą, z pod szabli żywe „skopy“, których nie było brak po olbrzymich jeszcze natenczas owczarniach. To też dostawiono je do obozu na żywność. Baranina, świeża jak niebądź oczyszczona po śniegu — krupnik taki był po części nie dogotowywaną a mięso dość twardem. Każdą łyżkę strawy trzeba było z obwisłych frendzli garścią ścignąć — z zimna, mrozu i strawy takiej, grasowała biegunka. Oddział ludzi bądź z bitwy, bądź z chorób zmniejszał się — pozostawali tylko wytrzymalsi na mróz i... wódkę.

Słoniny nie skąpiono — więc raczyliśmy się tym specjałem. Przy ognisku rozżarzonym ukrojona kromka chleba, osadzoną na rozenku drewnianym — obsuszyło się nad ogniem, słoniny kawał na takimże rozenku, rozegrzało się również nad ogniem. Nadtopioną owiło się kawałkiem papieru — a w braku papieru i banknotem rosyjskim. Tak uwinęta słoninkę na rozenku, zapalało się nad ogniem — pochodnia taka gorzała i ognistemi kropkami spadała na chleb. Gdy już kromka nasyciona była tłuszczem, gasiło się pochodnie z pozostałą a już przypieczoną słoninką. Poczem maniera z wódką gulgotała, lejąc płyn ożywczy do podniebienia, na to sporządza zakąska trzeszczała w zębach suchów — aż się człek kropkami potu zrosił.

Dyscyplina obozowa majora Lutyńskiego była może i poniekąd na miejscu — ale w szeregach rozdził się pomruk. Raz pamiętam stoimy wszyscy pod lasem — nakazano ciszę i spokój — nic nie maćci, bo i biedny konik odczuwa tę ciszę i nastroja się do niej — co tam zajdzie. Tylko od czasu do czasu przerwie niektóry lekkim parsknięciem.

(C. d. n.)

Notatki

Z ruchu niepodległ. w zaborze austriackim. W sierpniu 1912 r. wniósł poseł Hipolit Śliwiński prośbę do Ministerstwa Spraw wewnętrznych we Wiedniu o zatwierdzenie statutu Stowarzyszenia „Polska Federacja Strzelecka” z siedzibą we Lwowie. Celem Stowarzyszenia miało być zreszenie polskich korporacyj i towarzystw, które za cel obraly sobie kształcenie swych członków w strzelaniu, mistrze, ćwiczeniach sportowych i innych galejach wiedzy wojskowej, przez organizowanie kursów, szkół i związków strzeleckich, przez wydawnictwa i odczyty, urządzenie wycieczek, zebrań, obchodów i t. p. Zaś zadaniem „P. F. S.” miało być pielegnowanie ćwiczeń sportowych, w szczególności musztry i strzelania, oraz rozbudzanie w społeczeństwie zamiłowania do nauk wojskowych.

Podanie o zatwierdzenie tego Stowarzyszenia miało łączność z odbytym poufnym zjazdem w Zakopanem w sierpniu 1912 r., na którym wszystkie grupy niepodległ. wypowiedziały się za zbrojną gotowością narodu.

W Zakopanem zapadły następujące uchwały:

1) „Zgromadzeni dążą do niepodległości Polski drogą uświadomienia i zorganizowania narodu polskiego, celem uzdolnienia go do rewolucyjnej walki o byt samodzielny. Zdobyć niepodległości Polski jest nieodzowne dla bytu i rozwoju całego narodu i wszystkich jego warstw, lecz w pierwszym rzędzie i w największej mierze dla polskiego ludu pracującego.

2) Zgromadzeni zobowiązują się do popierania czynników niepodległ. we wszystkich stroniectwach, do bezwzględnego zwalczania czynników, odrzucających walkę o niepodległość narodu i uprawiających politykę ugodową wobec rządów zaborczych.

3) Zgromadzeni zobowiązują się do popierania organizacji, zmierzających do zapoznania najszerszych kół narodu w szczególności z zadaniami walki zbrojnej, jakie nas czekają w razie rewolucyjnego ruchu ludowego w Polsce, skierowanego w pierwszym rzędzie przeciwko państwu rosyjskiemu”.

Na podanie posła H. Śliwińskiego austr. M. S. W. zawiadomilo Namiestnictwo we Lwowie dnia 7 września 1912 r., że nie zezwala na założenie „Polskiej Federacji Strzeleckiej” na mocy § 6 ust. z dnia 15/XI 1867, gdyż Stow. zamierza „pielegnowanie ćwiczeń sport. w szczególności musztry i strzelania”. Z postanowienia tego wynika, że Stow. wedle okoliczności wyruszać ma kooperatywnie pod broń, względnie występować zbrojnie. Zresztą okoliczności, towarzyszące zamierzonemu zawiązaniu stowarzyszenia, uprawiają do twierdzenia, że przytoczone cele Stow. służyć ma-

ją urzeczywistnieniu innych dążeń, których ze statutu nie można powziąć”.

„Pod tym względem zwraca szczególniejszą uwagę rezolucja, uchwalona na zgromadzeniu, jakiego się odbyło niedawno w Zakopanem pod przewodnictwem proponenta, według której „zdążać się ma do niepodległ. Polski przez uświadomienie i zorganizowanie narodu polskiego, aby przygotować naród do walki rewol. o egzystencję samodzielną”.

Te uchwałę austr. Min. Spr. Wewn. nakazało Namiestnictwo Gal. lwowskiej dyr. policji zakomunikować posłowi Śliwińskiemu przed 14 września 1912, gdyż do tego czasu upływać miał okres ustawowego wyczekiwania, co też dyr. policji wykonała, doręczając tę rezolucję posłowi Śliwińskiemu w Krakowie, gdzie przebywał na „poufnym” konferencji niepodległościowców. To doręczenie w Krakowie było także dowodem, że dyrekcja policji wiedziała o tem „poufnym” zebraniu i umyślnie w ten sposób zadokumentowała to, korzystając z konieczności doręczenia rezolucji posł. Śliwińskiemu. (Z.)

„Opieka nad Grobami Bohaterów” — Marjan Weber. Ze słowem wstępem: *Cmentarze Lwowa*, napisał J. Białynia-Cholodecki. (Lwów 1929). Nakładem Pol. Tow. Opieki nad Grobami Bohaterów.

W słowie wstępem opisał Białynia-Cholodecki w pięknych słowach cmentarze lwowskie i wymienił wiele nazwisk wybitnych osobistości, których prochy spoczywają we Lwowie. Kilkaset, skrzętnie zebranych nazwisk, szczególnie zasłużonych w walkach o wolność, stanowi nietylko słuszny hołd pamięci, należny im, ale i ważny przyczynek do historii różnych czarów z przed 150-ciu lat — aż do ostatnich w 1920 r.

W drugiej części prezes Tow. Opieki nad Grobami Bohaterów — p. Marjan Weber, składa sprawozdanie czynności, które właściwie jest nietylko treścią działań tego Towarzystwa, ale i silnym podkreśleniem potrzeb i konieczności wyteźonej pracy na kresach wschodnich, gdzie każda mogiła — jest twierdzą i żywą historją dla przyszłych pokoleń.

Ze sprawozdania dowiadujemy się, że Two O. nad G. B. nie cieszy się poparciem niektórych miejscowych czynników urzędowych — czego wprost nie rozumiemy. Przecież inicjatywa prywatna powinna chętnie być widziana u tych, których z urzędu wyznaczono dla opieki nad grobami poległych, wśród których groby rodaków muszą mieć pierwsze miejsce w ogólnej „opiece”, boć im tylko dzięki — mogą tu dziś druzdy sprawować swe urzędy w imieniu Rzeczypospolitej.

Kto się interesuje grobownictwem naszym — a także kto tylko chciałby przysięść z pomocą tej zbożnej pracy, niechaj przeczyta tę broszurkę, którą Tow. Op. nad G. B. wyszła każdemu na żądanie.

Miesięcznik ilustr. *Mazowsze plockie i Kujawy* w Nr. 5 z marca br. (Plock) zawiera nader ciekawe sprawozdanie ze stanu i czynności harcerek drużyn *Chorągwi Plockiej i Wroclawskiej* z dokładnym zapodaniem miejscowości, ilości młodzieży harc., wieku, sprawności, bibliotek, warsztatów, ilości ćwiczących i t. d.

Bogate w treść i rezultaty pracy sprawozdanie tych chorągwi harcerek — może być przykładem dla innych stowarzyszeń, którym przyświecać ma idea służenia Najj. Rzeczypospolitej.

Poszukujemy Nr. 2, 4, 6, 27, 28 i 40 — zapłacimy podwójną cenę.

Redaktor przyjmuje codziennie od 5 do 5 pop. przw ul. Listopada 81.

Kto otrzymał „Panteon Polski” i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr.

Każdy czytelnik powinien zjednać jednego nowego prenumeratora.

Odnowić przedpłatę na II kwartał. Kwotę przesłać blankietem pocztowej kasy oszczędności Nr. 152950.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Nieznanne opisy z życia Komendanta, przewijające się od dzieciństwa w Żułowie, poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce, X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego, poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach, Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

Książka nieodzowna przy uroczystościach, przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z Jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibliotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena zniżona

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złożonym napisem zł. 12 opłatnie).

Każdy Komitet Wychowania Fizycznego i Przystosobienia Wojskowego powinien zakupić większą ilość tych książek, by ofiarować je biorącym udział w marszach, świętach P. W. i t. d. w zamian za przedmioty często zagranicznego wyrobu. By umożliwić Komitetom W. F. i P. W., Dyrekcjom Szkół, Stowarzyszeniom i t. d. zakupno tych książek, udzielamy przy większych zamówieniach dalszego rabatu.

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego” Lwów Skrytka 98